Nr. 49. We Lwowie dnia 9. grudnia 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Shelley.

(Ciąg dalszy).

Reakcja jeszcze się wzmogła, kiedy zniecierpliwiony, głodny lud zaczął demonstrować [przeciwko rejentowi i jego spodlonym ministrom. Spokojne zebrania ludowe rozpędzało wojsko, używając broni przy najmniejszym oporze. Tak w Manchesterze zamordowali siepacze rządowi jednego wieczora pięciuset bezbronnych ludzi, zebranych na to, ażeby się naradzić, w jaki sposób należałoby wystąpić przeciwko zachciankom rządu, zmierzającym do zniesienia najkardynalniejszych, podstawowych zasad konstytucji, tak zwanego „Aktu *Habeas corpus*".

Najmniejszy opór do tem większego wystarczał ucisku.

Taka była gospodarka rządu, której błogosławieństwa swego udzielał skostniały kościół anglikański, poświęcający chorągwie, bagnety i pałasze wysyłanych w celu mordowania bezbronnego ludu żołnierzy, polecający tępienie katolików irlandzkich, jako heretyków, powołujący się na każdym kroku na »miłość Ukrzyżowanego, na jego krew, przelaną za dobro ludzkości«.

Dosadny obraz tej epoki pozostawił Shelley pomiędzy innemi w sonecie, zatytułowanym: »Anglja w r. 1819«:

Król, stary ślepiec, szaleniec wzgardzony;
Książęta, szczepu zgniłego odpadki —
Cuchną i brudzą naród rozjątrzony;

Sternicy państwa, pijawki: ostatki
Krwi ludzkiej chłoną; głusi na stłumiony
Jęk, czynią rozbój pośród drogi gładkiej;

Lud, który z głodu w pustem polu ginie;
Żołnierz, dławiciel wolnościowej sprawy,
Miecz obosieczny w ręku tych, co ninie
W zdrój krwi i w złoto zmieniają ustawy;
Wiara, wznosząca bez Boga świątynie,
I zbezczeszczone prawodawców ławy:

Oto mogiły, z których niech w godzinie
Burzy ognisty dla nas blask wypłynie!...

Nie dziw więc, że taka deprawacja ludzi i stosunków, taka niesprawiedliwość i obłuda musiały obudzić w szlachetnej i wrażliwej naturze Shelley'a wstręt największy, że musiały prowokować go do oporu.

Sądząc na wzór rzymskiego poety Lukrecjusza, że ta suma złego wypływała z istoty religji, którą wszyscy tyrani najbardziej chełpić się zwykli; nie mogąc pod całą tą potworną grozą ciemięztwa wznieść się do poglądu, że nie religja temu winna, lecz ludzie, którzy ją wykrzywili; i jej do własnych używają celów; będąc przytem wiernym idealistycznej filozofji swej o pierwotnej szlachetności człowieka — zwrócił swój upór nasamprzód przeciwko obłudzie religijnej.

Zerwał gwałtem z protestantyzmem, wyrzekając się publicznie jego 28 artykułów, a nie pojmując Boga ciemiężyciela, zaczął siebie nazywać ateuszem. *Ego philanthropos eimi, demokratikos l'atheos te* — mawiał po grecku o sobie.

Wraz z wolnością polityczną i zrównoważeniem warunków ekonomicznych zaczął, tak samo jak Byron, uważać i wyzwolenie się z więzów dogmatycznych za najgłówniejszą podwalinę szczęścia ludzkości, za niezbędne czynniki do dalszego jej rozwoju.

Zwolennik Spinozy, zaczął formułować pojęcia swoje o bóstwie w sposób następujący: »Niema osobistego boga, którego imię służyło nieraz za osłonkę nikczemnego czynu; niema

Fo, ani Sziwy, ani Jahwy, ani Buddhy, którym ludzie, ile się razy w bratniej krwi zabroczą, dziękczynne składają hołdy; niezliczone światy przenika jeden wielki duch natury; przenika nieubłagana konieczność, a jej siła objawia się wszędzie a wszędzie«.

Ateizm więc jego, z którym łączył nawiasem mówiąc, pojęcie szlachetności, był formalny, nie odnosił się do istoty rzeczy. Tego ducha natury, tę konieczność utożsamiał Shelley z bóstwem miłości, z bóstwem piękna, a cały jego żywot świadczy o tem, że nikt od niego w bóstwo to większej nie posiadał wiary. Ta wiara, przybierająca kształty panteistyczne, przenika całą jego poezję. Widział on tego Boga nietylko w pierwotnem, niezepsutem sercu człowieka, ale widział bóstwo to we wszystkiem, co go otaczało, począwszy od najmniejszej grudki ziemi, najmniejszej roślinki, »której nigdy nie złamał z umysłu«, od najnędzniejszego płazu, »którego nigdy nie zdeptał z umysłu«, a skończywszy — na majestatycznem morzu, na wspaniałych, lodem pokrytych szczytach gór, na ogromie kuli ziemskiej, na mirjadach gwiazd promienistych, wogóle na wszystkiem tem, co się składa na wszechświat.

Utożsamiając zaś to bóstwo piękna i miłości z duchem natury, widział Shelley w każdym szczególe stworzenia, jako poddanym wspólnej władzy tego Ducha, której i on podlegał, tej Natury, do której z tak wielkim zawsze zwraca się zapałem, a zjednoczenie z którą za największe uważał szczęście, za nowe, cechą boskości obdarzone życie — a więc w każdym szczególe stworzenia widział swego brata i wszystkich równą obejmował miłością:

»Powietrze! ziemio! morze! bracia moi!« — powiada w »Alastorze«. —

»Jeśli mi w duszę wlała Macierz wielka (Natura)

Prawych ukochań płomieniącą iskrę,
Ażebym miłość waszą odczuł sercem
I dar ten własną okupił miłością;
Jeślim ukochał tę rosę poranku
I woń południa i szkarłat zachodu
I dech stłumiony drzemiącej północy;
Jeśli mi były drogiemi rozjęki
Tęsknej jesieni i zima, zdobiąca
Całunem śniegu i lodów brylantem
Nagie konary i trawy powiędłe;
Jeślim się kiedy upajał pierwszymi
Całunki wiosny pośród drżeń rozkosznych;
Jeślim przenigdy nie zraził ptaszyny
Ani owadu świadomie, lecz zawsze
Kochał serdecznie, jako ród pokrewny:
O! wtenczas, bracia najdrożsi, przebaczcie
To słowo chwalby — i dzisiaj, jak niegdyś,
Raczcie udzielić mi choć część swych względów...

Wrzekomy jego ateizm, wypływający z opornej natury, miał się stać dla niego źródłem straszliwego prześladowania.

Podczas pobytu jego na uniwersytecie w Oksfordzie ukazała się broszura »O potrzebie ateizmu«. Jakkolwiek książka wyszła bezimiennie, o autorstwo jej posądzono Shelley'a i oskarżono go przed władzą uniwersytecką. Kolegjum profesorów zażądało od niego, aby się otwarcie przyznał do autorstwa i herezje odwołał. Gdy jednak Shelley uczynić tego nie chciał, wypędzono go z uniwersytetu.

Do prześladowców przyłączył się i ojciec, okazując mu wstręt i odrazę jako »bezbożnemu potworowi«, a przedewszystkiem jako obrażającemu »cant« purytański. Wyparł go się, nie pozwolił wracać do domu, pozbawiając go wszelkich środków do życia. Los Shelley'a był pod tym względem podobny do losu innego wielkiego poety, Giacoma Leopardiego.

Niespełna siedmnastoletni młodzieniec, udał się Shelley do Londynu, zamieszkał na strychu, a utrzymując się tylko z kieszonkowego swej siostry, cierpiał taką nędzę, że kilkakrotnie był bliskim śmierci głodowej. Pomimo to nie upadł pod brzemieniem tego życia. Czas swój dzielił pomiędzy nauką, tworzeniem i spełnianiem dobroczynnych uczynków .Drugi Wincenty à Paulo, zaglądał do najbrudniejszych zaułków Londynu, gdzie nędza i zbrodnia mają swe gniazdo; całe godziny spędzał w szpitalach, przy łóżku dotkniętych zaraźliwemi chorobami, nie lękając się złych dla siebie skutków tego poświęcenia. Niesienie ulgi cierpiącym, nieszczęśliwym, uważał za najprostsze zadanie człowieka.

Wskutek wyziewów szpitalnych zaczęła się w nim rozwijać choroba piersiowa, która atoli po kilku latach znikła, pozostawiając tylko spotęgowaną nerwowość. Niejednokrotnie zapadał na zapalenie ócz — ale osoba jego była mu obojętną. Sam nie posiadał nigdy więcej nad jeden surdut, a raz spotkano go wracającego boso do domu: buty darował jakiemuś nędzarzowi. I później, kiedy, na skutek kompromisu z rodziną, z majątku, do którego miał prawo jako najstarszy syn, a którego zrzekł się na korzyść swych sióstr, otrzymał tysiąc funtów rocznej renty, większą część obracał na otarcie łez nieszczęśliwym. Dziwne musiało wywierać wrażenie na chorych zjawisko Shelley'a, który ni stąd ni zowąd przychodził do nich — jak anioł opiekuńczy, dziwne tem więcej, że nietylko duszę i serce, ale i ciało miał podobniejsze raczej do anioła, aniżeli do człowieka. Był on bowiem tak piękny, że jak mówił jeden z ówczesnych malarzy, nie podobna go było portretować. Porównywano go też z »Mignon« Goethego, lub z szekspirowskim »Arielem«.

Na czas pobytu w Londynie przypada pierwsze jego małżeństwo z Henryettą Westbrook, córką restauratora.

Harriet Westbrook, dziewczyna nadzwyczaj młoda, bo piętnastoletnia — a i Shelley w czasie wykradzenia jej, w czem poszedł za wzorem

swego awanturniczego dziada, miał zaledwie lat dziewiętnaście — nie odznaczała się niczem, ani umysłem, ani charakterem, ani nawet urokiem zewnętrzym, coby było mogło przykuć do niej na zawsze takiego człowieka, jak poeta angielski. Nie dziw więc, że po trzechletniem, nadzwyczaj nieszczęśliwem pożyciu, małżeństwo zostało zerwane. Harriet wróciła do ojca, po stracie męża pocieszyła się jednak niebawem, wchodząc w powtórne związki z jakimś nic nieznaczącym handlarzem. Dopiero kiedy i ten ją opuścił, nieszczęśliwa kobieta odebrała sobie życie przez powieszenie.

Rozwód Shelley'a z panną Westbrook był również wynikiem jego zapatrywań, wypływających z jednego źródła — z miłości swobody. Przemawiając za indywidualizmem człowieka, wbrew tradycjom Arystotelesów i Agrypów, widzących w jednostce maluczkie tylko kółko machiny państwowej, żądał Shelley i w stosunku płci pewnej wolności, gdyż podług niego niemoralność i rozkiełznanie obyczajów z jednej strony, a nieszczęście jednostek z drugiej strony wypływa między innemi z niemożebności rozerwania małżeństw, bądź to z góry już niedobranych, bądź też z czasem wzajemnie sobie zohydzonych.

(C. d. n.). *Jan Kasprowicz.*

U WRÓT EDENU.

JULJUSZ. Pani moja, co tobie? Codzień jesteś bladsza, a skronie masz tak rozpalone, że aż róże więdną ci w warkoczu.

LOLA. To nic; nie zważaj pan, proszę.

JULJUSZ. Chciałbym może nie zważać, ale rysy twoje blade przychodzą nawet w ciemnościach nocy mówić do mnie: czy nas nie widzisz? Wzrok twój zapatrzony, gdzieś w przestrzeń, to zadumany, to tak pytający, że aż boję się badać, o co on pyta.

LOLA. Głowa czasem mnie boli. A zresztą... (z uśmiechem) czyż to dziw, że narzeczona się zamyśla?

JULJUSZ. Narzeczona uśmiecha się także.. do swoich marzeń; a uśmiech znikł z pani ust zupełnie.

LOLA. Bezpamiętny człowieku! To jużeś zapomniał, jak się dziś śmiałam nad owymi wierszami, któreś mi czytał?

JULJUSZ. Tak, lecz śmiech twój nagle pękł w płaczu. Wiersz był może zbyt roztkliwiony, zbyt sentymentalny, aż do ckliwości... wszakże, czyż uczucie choćby nawet w niekształtnej formie, może cię dziś rozśmieszać? Co do mnie, duszę mam tak wypełnioną, że się nie dziwię żadnemu momentowi wezbranego serca. Autor może nierozsądnie kochał, może nie umiał kochać ładnie, ale bądź co bądź, czuł gorąco. Ja nad nim śmiać się nie mogłem, tem bardziej po śmiechu — płakać.

LOLA. Czasem zaciera się graniczna linja śmiechu i łez.

JULJUSZ. W spokojnej chwili to się nie zdarza.

LOLA. Dlaczego pan przypuszczasz, że mam być zawsze spokojną — jak kamień?

JULJUSZ. Dlaczego mam przypuszczać, że jesteś pani niespokojną — jak morze? Ale gdy morze się burzy, to rozumiemy, że jakiś powiew złowrogi je poruszył. Fale szumią tylko na burzę.

LOLA. Ach, wielki inkwizytorze, więc znowu badanie?

JULJUSZ. Jedyna moja, ten raz tylko. Pomyśl, czy mogę patrzeć, jak mi roztapiasz się w oczach, niby codzień gęstszą mgłą przysłaniana? Czy mogę nie odczuć, jak ci ponad tym jaskółczym łukiem brwi myśli jakieś gromadzą się, ścierają z sobą i rosną, rosną? Wszak ty cierpisz. Może zabijasz w sobie jakieś głosy, może walczysz z sobą beznadziejnie. Zastanów się: czy mogę patrzeć na to chłodno i nie myśleć: w tem coś jest. Jeśli twoje serce cierpi, to moje, pamiętaj, we stokroć. Bo patrząc na ciebie, mogę mówić sobie: czyś nie ty winien?

LOLA. O, tak myśleć nie wolno! Alboż nie wiadomo, że wierniejszego serca nie posiadam na ziemi?

JULJUSZ. Więc oprzyj się o nie; z ufnością i szczerze oprzyj się. Nie zawiedzie, możesz być pewną.Takie zagadki zaciętych ust i chmurnych oczu są straszne. Wolę wiedzieć wszystko. Jeśli więc zdołasz bez niechęci, odpowiedz mi, co w tobie tak nurtuje i tak się zmienia, żeś ty moja — jakby już nie moja?

LOLA. Ja bo czasem sama siebie nie rozumiem. Czasem mi się zdaje...

JULJUSZ. Co ci się zdaje! dla czego umilkłaś?

LOLA. Dziwne to, zaprawdę...

JULJUSZ. Słucham.

LOLA. Więc mam mówić koniecznie? A zatem... (żywiej) Sam chciałeś. Zdaje mi się czasem, jakby we mnie były dwie istoty. Jedna, którą oto widzisz — twoja narzeczona, szczęśliwa i rozmarzona dziewczyna, ciekawa i niecierpliwa przyszłości. Druga...

JULJUSZ. Kończ, proszę.

LOLA. Druga — jakaś chyba dziwaczka, która sama nie wie, czego chce od losu.

JULJUSZ. I nie jest już ani szczęśliwą, ani rozmarzoną?

LOLA. T... tak, może...

JULJUSZ. A przyczyny tego nie znasz pani? To ci powiem. Przyczyną jest, że... (z trudnością) nie kocha.

LOLA. Ach nie, nie! Uczucie tu w grę nie wchodzi, proszę mi wierzyć. Myślałam już nad tem.

JULJUSZ. A! więc już myślałaś...

LOLA. Tak. — I to nieraz, i to nieprzelotnie. Trzeba mi wierzyć: uczucie tu w grę nie wchodzi.

JULJUSZ (z przymusem). Więc cóż takiego?

LOLA. Nie wiem. I to właśnie męczy mię, jak nierozwiązana zagadka. A, nie tylko to — to najmniejsza. W drugiej, co żyje we mnie, to przecie jestem ja, cała — jak w tej, co kocha i wierzy w szczęście.

JULJUSZ. Lecz czegóż chce ta druga? Nie rozumiem.

LOLA. Przedewszystkiem wyjść z tej dwoistości. To męczy strasznie.

JULJUSZ. A dalej?

LOLA. Dalej? Nie chcę wiedzieć, co będzie dalej, gdy dwoistość się ta skończy.

JULJUSZ. Boisz się?

LOLA. Może — nie wiem... Chyba tak.

JULJUSZ. Lecz ja muszę wiedzieć. Zechciej mi pani, powiedzieć, co myślisz i co czujesz, gdy jesteś — ot tak jak teraz chmurną?

LOLA. Co myślę, co czuję?... Wstrzymaj chmury w pędzie i spytaj, gdzie lecą i co w sobie niosą? Czy się chcą splątać, czy rozstrzelić, czy w burze się wzbiją, czy majowym deszczem na niwy upadną? A może tylko w smugi nieuchwytne rozsnują się w przestrzeniach.. Ja chwytam swoje myśli i nie wiem nawet czy mi, się przez palce przędzami mgły nie przewiną...

Co myślę, co czuję? To tak trudno zebrać w jedno i powiedzieć tak — tak, nie — nie. O, nie zasępiaj się! Nie będę męczyła cię dłużej. Jak umiem, powiem; sądź, jak chcesz.

Czasem myślę, że szczęście, spokój, miłość — wszystko, co mi dasz i dokąd mnie wiedziesz, nie będzie tylko jasną, tylko z promieni i z kwiatów usnutą krainą. Czasem mi się zdaje, że w najrozkoszniejszym, najsłodszym Edenie mogę być kapryśną, niezadowoloną Ewą. Zawsze jakieś tajemnicze drzewo niepokoić mnie będzie. Wśród uroków raju ze zmarszczoną brwią szukać gotowam rozwikłania zagadki — choćby za cenę szczęścia, choćby na ryzyko błędów...

JULJUSZ. Czy masz już taką zagadkę?

LOLA. Niejednę! Przedewszystkiem powiedz mi, czy nigdy na myśl ci nie przychodzi pytanie: czem jest nasza miłość? Światłem czy — cieniem?

JULJUSZ. Nie zastanawiam się nad tem, bo dla mnie jest ona tylko światłem.

LOLA. A ja nie potrafię nie być Ewą, widzisz! Męczy mnie zagadka »drzewa poznania«. Onegdaj wzięłam biblję do ręki i czytałam ów wzniosły ustęp o miłości, co to się kończy słowami. »Wszystkiemu wierzy, wszystko przenosi, nigdy nie ustaje, a jako śmierć jest mocna«. Możnaż co silniejszego rzec o uczuciu? Powtarzałam ten ustęp, aby go się na pamięć wyuczyć, jak pacierza — gdy nagle... O jakiej miłości tu mowa? Czyżby o tej maluczkiej, dwóch istot zatopionych w sobie?

Przymknęłam oczy, i zdało mi się, że poza cichemi palmami Edenu, gdzieś daleko, szumi jakiś żywioł potężny, jakiś ocean, fal wielkich i drogi słonecznej pełen. Jak nędzna muszla falą na brzeg wyrzucona, wydał mi się wówczas ów Eden — dwojga. I w ślad zatem wypłynęły mi na pamięć słowa wielkiego poety:

To nie na słońce, gwiazd granicy
Z kochankami mdlejąc, latać...

I dalej jeszcze — ach, w Edenach niewątpliwie mieszkają stale kusiciele — przyszedł mi na myśl ów utwór obcy, coś mi go wiosną czytał, pamiętasz? Jak tam potężny ten autor poniżył miłość, jak bez litości ściągnął ją w błoto!

Myślałam nad tem — i nagle ogarnął mną zawrót, jakbym w przepaść spojrzała.

Oto Eden przysłaniał się cieniami!

Dok. nast. *W. Dacleka.*

BJÖRNSTJERNE - BJÖRNSON.

STRASZNE WSPOMNIENIE

Z LAT DZIECIĘCYCH.

Liczyłem wonczas mniej więcej lat siedm, kiedy się rozeszła pogłoska na probostwie, że dwóch ludzi, przejeżdżających łodzią około fiordu Erid, znalazło tuż nad brzegiem morza pół leżącą, pół wiszącą kobietę, która spadła ze stromej skały. Nie ruszyli jej prędzej, dopóki nie dowiedzieli się od niej, kto z nią tak okrutnie postąpił.

Pięć mil morzem do lekarza, a poprzednio jeszcze wizyta u mego ojca, aby od niego uzyskać świadectwo, umożliwiające przytułek w szpitalu! Leżała dłużej niż dwadzieścia cztery godzin bez pomocy, a wkrótce po udzieleniu jej tejże, wyzionęła ducha. Przed skonaniem wyznała jeszcze, że uczynił to Per z Hagbö, »ale - dodała — proszę nie znęcajcie się na nim«. — Wszyscy wiedzieli, że pomiędzy nią, będącą w służbie w Hagbö, a synem domu istniał stosunek miłosny; a domyślni ludzie wiedzieli w jednej chwili, dla czego pragnął ją z drogi usunąć.

Pamiętam dobrze, kiedy wiadomość ta się rozeszła; było to po południu tej samej niedzieli, w której to o rannej porze ją zamordowali; było to wśród lata, w promieniach słońca czeladź wesoło na dziedzińcu igrała. — Przypominam sobie.

że zdawało się jakby zmrok zapadał, twarze wszystkich martwiały, fiord ginął w mgłach, a las i okolica kurczyły się w powłoce cieni. Przypominam sobie, że odczuwaliśmy następnego dnia jakby przewrót wszystkich zwyczajów codziennych, nie czułem się zobowiązany iść do szkoły, robotnicy zaprzestawali pracy i siadali, gdzie im się podobało. Szczególnie kobiety, jakby je siły opuściły, odgadywały jakieś groźne niebezpieczeństwo, widać to było po nich, mówiono też o tem. Mianowicie gdy obcy wszedł na podwórze, twarze ich i ruch zdradzały, jak potężne wrażenie wywarło na nich zabójstwo. Pod tem samem wrażeniem i my pozostawaliśmy, podawaliśmy sobie ręce jak po długiej rozłące, zabójstwo bowiem stawało nam przed oczyma; można było mówić o najzwyklejszym przedmiocie, a z głosu i doboru słów widniała obawa mordu. Kładliśmy się do snu i wstawali nad ranem z uczuciem, iż jesteśmy bez opieki, a ochota życia tak nagle stanęła, jak wskazówka zegaru o pewnej godzinie. Powoli przybrało owo zabójstwo cechę codzienności: sprawiły to plotki i ciekawość, obrabiały je one, omawiały, sondowały tak długo, aż je utarły; pozbawiły grozy i zamieniły tylko w najnowszą nowość. Niezadługo znaliśmy najmniejszy szczegół stosunku zamordowanej do mordercy; wiedzieliśmy też, kto była ta, z którą miał się żenić Per według woli matki. Znaliśmy owych ludzi z Hagbö na wylot i całą ich genealogją.

Gdy sędzia przybył na probóstwo na pierwsze przesłuchy, zabójstwo samo było niewyczerpanem źródłem rozmowy; gdy jednak drugiego dnia woźny powiatowy z kilku żandarmami przyprowadził mordercę, nowe mnie uczucie ogarnęło, uczucie, którego dotychczas nie znałem, największa litość. Młody, przystojny chłopak, dobrze zbudowany, niezbyt wielki, o delikatnych kształtach ciała, z ciemnym, niezbyt bujnym włosem, o sympatycznem oku, którego wyraz obecnie był zalękniony, głos miał czysty i pewien wdzięk w całem ułożeniu, wogóle przebijało w nim lepsze wychowanie. Widoczne było jego przywiązanie do życia, jego umysł pogodny, wesoły... uczułem nadzwyczaj wiele litości dla niego. Woźny powiatowy mówił z nim łagodnie, inni tak samo, widocznie byli pod tem samem co ja wrażeniem. Tylko mały popędliwy sekretarz zarzucił go potokiem wyrzutów, na które jednak oskarżony, z czapką w ręku, wcale nie odpowiadał. Chodził po podwórzu w koszuli — dzień był bardzo gorący — z płaską czapką na krótko strzyżonych włosach, z rękoma w kieszeniach spodni, lub skubiąc słomę. Podwórzowy pies miał gości, a więzień przyglądał się ich zabawie, kurom i dzieciom, a w oczach przebijało coś nakształt żalu, że nie ma z nami nic wspólnego. Słowa dziewczyny: »Proszę, nie znęcajcie się nad nim!« brzmiały wszędzie, gdzie tylko stanął, usiadł, lub poszedł. Wiedziałem, że zetną go z pewnością, a sądząc, że to bardzo niedługo nastąpi, odczuwałem jakieś trudne do opisania przerażenie, na samą myśl, że on ciągle sobie powtarza: za miesiąc umrę, a może za tydzień, za dzień, za godzinę... musiało to być nie do zniesienia. Przysunąłem się do niego, aby sobie jego kark obejrzyć; w tej samej chwili położył nań rękę, małą, brunatną rękę, a później nie mogłem się uwolnić od tego obrazu, że może w chwili, kiedy mu topór przyłożą na szyję, on i palce wsunie pod niego.

Dozorców i jego zawołano do stołu. Byłem ciekawy, czy przezwycięży się do jedzenia. Ale jadł i rozmawiał na równi z drugimi, a mnie obawa opuściła na chwilę. Ale zaledwie wyszedłem na podwórze i zostałem sam, skupiłem moje myśli i dumałem nad tem, że jest jednak niesprawiedliwie, iż na słowa jej »Proszę, nie znęcajcie się nad nim« — nikt nie zważa i zupełnie je pominięto. Musiałem pójść, ojcu to opowiedzieć; lecz on powolny i poważny z pisarzem małymi ruchliwym, przechadzali się po pokoju, rozmawiając głośno i głośną rozmową zagłuszając moje serdeczne obawy. Wymknąłem się znów i zbliżyłem do jego surduta i głaskałem go.

Przesłuchiwanie odbywało się u góry w naszej izbie szkolnej, nauczyciel mój był sekretarzem, a mnie pozwolili przysłuchiwać się. Pisarz używał swego głosu w ten sposób, że przez otwarte okno było go słychać na całym dziedzińcu; biedak musiał dawać sprawozdanie z całej niedzieli, której ją zamordowano, z każdej godziny tego dnia, zapierał się, przysięgał z całą stanowczością, że on tego nie uczynił. W badaniach sędziego przebijała się nietylko bystrość, lecz także pewna łagodność; poruszył Pera aż do łez, ale nie wydobył żadnego zeznania.

— Pozostaniemy tutaj długo — odezwał się sędzia zaraz pierwszego dnia do mej matki po ukończonych przesłuchach. Ale pod wieczór ukazała się siostra Pera na podwórzu i została całą noc przy nim; słyszeliśmy ją błagającą i płaczącą, a rozpaczała bezustannie. Rano był Per blady i milczący; przed sądem wziął Per całą winę na siebie.

Sprawa cała miała się tak: objaśniał, że miał pewne obowiązki względem niej, a matka była jej bardzo przeciwna; spotkali się jednej niedzieli w lesie, kiedy ona z książką do nabożeństwa szła na mszę; usiedli i zapytał jej, czy i ona nosi się z zamiarem podania jego jako ojca dziecięcia, które ma się narodzić; w owej nędzy i rozpaczy szukała pociechy w modlitwie i mszy św. Odrzekła, że nie może innego podać. Mówił jej, co to za wstyd będzie dla niego i że matka jego już dziś nie posiada się z gniewu. Tak, i ona wiedziała o tem dobrze, że matka jego gniewa się na nią, a ze strony Pera dziwiło ją, że jej nie broni! on bowiem najlepiej poinformowany, z czyjej winy to wszystko się stało. Ale Per utrzymywał, że dla innych była

równie uprzejmą, jak względem niego i dla tego nie widzi przyczyny, żeby właśnie jego uznawała za ojca dzieciny. Próbował rozmaitych forteli, żeby ją rozgniewać; ale nie udawało mu się, była bowiem zbyt łagodną. Mimo wszystkiego zdecydował się na to: w trawie, na której siedziała, przechował siekierę, teraz ją wydobył i uderzył ją silnie w tył głowy. Nie zemdlała zaraz, ale poczęła się bronić i błagać o życie. Co się dalej stało, tego już nie wie: sam bowiem był kompletnie nieprzytomny. Na dalszy rozwój spraw przyjął tłomaczenie, które mu podsunięto. Siostra czekała na niego na dziedzińcu, dopóki nie wyszedł po przesłuchach, zapłakany i osłabiony: szli znów obok siebie i szeptali. Nie mogę sobie postaci tej dziewczyny uprzytomnić inaczej, jak przygarbionej i płaczącej.

C. d. n.

Postęp społeczny Anglji.

(A. S. Goldenweiser. Prądy i reformy społeczne w Anglji XIX wieku. Warszawa 1894).

(Ciąg dalszy).

Powszechnem uznaniem cieszyły się wówczas teorje zbawienności niewdawania się państwa i społeczeństwa w bieg życia ekonomicznego. Gra interesów osobistych doprowadzać miała sama przez się do ogólnego dobrobytu. Fakta jednak życia zadawały zbyt widocznie kłam teorjom, to też wśród osób nie zainteresowanych bezpośrednio, lub też nie zaślepionych przez ulubione doktryny, musiała powstać reakcja, musiała zjawić się chęć zapobieżenia najgroźniejszym przynajmniej objawom rozkładu. Nie możemy pominąć tu milczeniem człowieka, który pierwszy zwracał się do rządów i społeczeństw z gorącemi przedstawieniami konieczności prawodawstwa fabrycznego i obowiązkowego nauczania. Wielki ten filantrop, którego imię (Robert Owen) dotąd jest powtarzane z głęboką czcią w Anglji, był sam właścicielem wielkich fabryk tkackich w New Lanark. Stosując swe teorje do praktyki, przekonał on świat, że przedsiębiorcy mogliby bez żadnej straty dla siebie znacznie skrócić dzień roboczy dla swych robotników i wyznaczyć poważne sumy na wychowanie ich dzieci. Dużo jednak czasu minęło, zanim praktyczne znaczenie doświadczeń Owena zostało należycie ocenione. Poza takiemi mężami, jak Owen, którzy działali wyłącznie pod wpływem miłości bliźniego i z poczucia obowiązku obywatelskiego, położenie robotników budziło największe sympatje wśród stronnictwa konserwatywnego, czyli ziemiańskiego. Nie zainteresowani osobiście w przemyśle właściciele ziemscy spoglądali niechętnie na przemysłowców, którzy bogacili się coraz bardziej i coraz też głośniej domagali się udziału w sprawowaniu rządów, znajdując poparcie dla swej agitacji w zależnych od siebie robotnikach. Konserwatyści właśnie pomimo zaciętego oporu liberalnych przedsiębiorców, przeprowadzili w parlamencie pierwsze prawa fabryczne, zakazujące nocną pracę dzieci (od lat 9 do 16), ograniczające ich pracę dzienną (do 12 godzin z $1^1/_2$-godzinną przerwą na obiad).

Fabrykanci ówcześni odpierali żądania opieki prawnej nad dziećmi powtarzanemi nieraz i później argumentami. Przedstawiali oni, że niepodobna pozbawiać ubogie rodziny zarobku ich dzieci; że uczucie miłosierdzia nie powinnoby pozwolić na wyrzucenie dzieci z ciepłych sal fabryki w chłodne i niezdrowe legowiska domowe. Największy wszakże nacisk kładli na wymagania przemysłu. Ograniczenie pracy dzieci niechybnie pociągnąć miało zdrożenie produkcji, zwycięstwo przemysłu zagranicznego na targu wszechświatowym, emigrację kapitałów z Anglji, a zarazem i ogólną ruinę klasy robotniczej. W pierwszych latach po uchwaleniu praw fabrycznych były one mało stosowane w praktyce, pomimo to jednak śród samych fabrykantów zaczynamy niebawem spotykać ludzi, którzy przekonali się, że mogą bez straty stosować się do prawa, a nawet takich, którzy upatrywali swój własny interes w rozszerzeniu prawodawstwa na swoich konkurentów. Pierwsze skuteczniejsze prawo fabryczne, połączone z zamianowaniem specjalnych inspektorów, przeszło w r. 1833 przez parlament zreformowany, w którym mieszczaństwo dzieliło władzę z ziemiaństwem, właśnie dzięki zjawieniu się śród przedsiębiorców mniejszości, dla prawodawstwa fabrycznego przychylnej.

Oprócz reakcji śród klas wyższych, która się wyraziła w zapoczątkowaniu prawodawstwa fabrycznego, nieokiełznany kapitalizm napotkał silny, chociaż brutalny opór robotników. Koniec zeszłego wieku i początek bieżącego odznaczał się w Anglji masą rozruchów robotniczych, połączonych z rozbijaniem maszyn, niszczeniem budynków, gwałtami wszelkiego rodzaju, a nawet mordami. Objawiała się w tych rozruchach silna nienawiść robotników, a zarazem ich niski stopień rozwoju. Spory z fabykantami przybierały charakter buntów, uśmierzanych przez wojsko. Fabrykanci uzbrajali swe fabryki w armaty, a prawo (z r. 1812) groziło śmiercią niszczycielom maszyn. Pomimo surowych *combination laws,* śród robotników tworzyły się liczne związki, pozostawały one jednak tajnemi i skłonne były

do użycia wszelkich środków w walce. Nieskuteczność zakazu znów stała się tak widoczną że w r. 1825 nastąpiło cząstkowe ich pozwolenie. Odtąd mianowicie wolno było robotnikom porozumiewać się między sobą co do warunków pracy, ale jedynie obecnym tylko na zgromadzeniu. Nakłanianie innych do udziału w zmowie za pomocą gwałtu, gróźb lub »uprzykrzania się« pozostawało i nadal karanem, nie przestano też stosować prawa o spiskach. Jakkolwiek nowe prawo było nader niewielkiem ustępstwem i jakkolwiek w praktyce trudno było zastosować się do wszystkich jego wymagań, to wszakże od tego czasu tajne związki robotnicze zaczynają przechodzić w jawne, starają się coraz bardziej o legalne środki działania i zatargi robotników z fabrykantami tracą pierwotną swą gwałtowność. Związki robotnicze (»zawodowe«) nie przestawały mimo to budzić nienawiści przedsiębiorców i korzystali oni z każdej okoliczności, by zmusić robotników do ich rozwiązania.

Jakeśmy już wspominali, politycznie robotnicy nie oddzielali się wówczas od mieszczaństwa i popierali dążenie jego do reformy wyborczej, oczekując od niej wiele dobrego dla siebie. Niebawem jednak nastąpił zawód. Mieszczaństwo, dostawszy się do władzy, zaznaczyło swą przewagę nowem prawem o ubogich (z r. 1834), w którem wyraziła się cała pogarda zbogaconych fabrykantów dla nędzy i chęcią odjęcia udzielonych w r. 1825 ustępstw. Wówczas to śród robotników angielskich zjawiła się pierwsza próba zawiązania samodzielnego stronnictwa robotniczego. Ruch ten znany jest pod nazwą czartyzmu. Robotnicy domagali się powszechnego prawa głosowania. Z mów przywódzców widocznem jest, że robotnicy przeciwstawiali się całkowicie całemu ustrojowi współczesnemu, stworzonemu przez bogaczy dla ich własnej korzyści. Prawo głosowania powszechnego miało być szczeblem do władzy, z której należało skorzystać dla przebudowy całego społeczeństwa. Z początku robotnicy używali dróg pokojowych i legalnych, jako to podawania petycji z miljonami podpisów, demonstracji i t. p. Mieszczaństwo jednak nie miało najmniejszej ochoty do ustępstw, przeciwnie, przez usta Johna Russella (r. 1837) oświadczało ono wyraźnie, że żadne dalsze reformy wyborcze dokonane nie będą ani teraz, ani w przyszłości. Śród czartystów wywołało to jeszcze silniejsze oburzenie na liberałów i coraz większą przewagę otrzymywały żywioły radykalne, pragnące dójść do celu drogą rewolucji i gwałtu. W społeczeństwie angielskiem zapanowało trwożliwe oczekiwanie. Sądzono powszechnie, że nieuniknioną jest blizka katastrofa. »Stoimy nad przepaścią — pisał w roku 1840 dr. Arnold — i musimy spaść w nią«.

Energja rządu uśmierzyła niektóre usiłowania rewolucyjne, zapobiegła innym. Ciekawszym jednak i ważniejszym faktem jest to, że usiłowania rewolucyjne już się nie ponowiły i że Anglja obecnie z większym spokojem patrzeć może w przyszłość, niż jakikolwiek inny kraj Europy zachodniej. »Ta sama Anglja — powiada cytowany na początku niniejszego artykułu publicysta — która w pierwszej połowie bieżącego wieku zdawała się stać na progu wielkiego przewrotu społecznego, przedstawiała później i przedstawia nagół do dziś dnia obraz zapewnionego na czas dłuższy pokoju społecznego. Nieuniknioną walka interesów kapitału i pracy wyraża się tutaj w sposób, nie różniący się zasadniczo od walki konkurencyjnej, jaka toczy się między współzawodniczącemi przedsiębiorcami«. O przyczynach tego nader ważnego i ciekawego faktu pomówimy w artykule następnym.

(C. d. n.) *J. KN.*

MATKA.

Obrazek, przepisany ze starego pamiętnika.

(Dokończenie).

Po chwili ciągnęła dalej:

— Oj doloż moja! przyszła na mnie godzina czarna; pochowałam starego i do pracy musiałam się wziąć za dwoje, i za dwoje opiekować się chłopakami, którzy rośli niby na drożdżach. Z Jankiem nie miałam kłopotu; patrz, jak tam przy warsztacie siedzi dzisiaj, tak siadywał zawsze. Ale Antka! O jakże rzadko oglądały moje oczy. Myślałam często patrząc na niego: wyszumi się, wyhula, jak młode piwo wyburzy i statek przyjdzie nareszcie. Statek nie przychodził jednak, widziałam, czułam to, jako matka, że Antek grzęźnie w przepaść.

Opodal od nas mieszkała dziewczyna ładna, do której wzdychali wszyscy chłopcy naszego zakątka; szatan zesłał ją na ziemię widocznie dla tego, aby zwiększyć moje nieszczęście. Była to natura straszna tej kobiety; skąd się w naszej uczciwej znalazła dzielnicy, nikt nie wiedział i nikt odgadnąć nie mógł, ale każdy wiedział, że piękna, a dla młodych przecież to wiadomo, że piękna twarz wystarczy za wszystko.

Zginął mój biedny Antek, zginął przez nią. O byłby zginął i Janek, bo kusiła go także, ale umiałam znaleść anioła, który go ze szponów szatana wydarł. Tego anioła zobaczysz także w drugim pokoju, ot teraz obiad, zajrzyj, ona jak dawniej, jak od początku pilnuje tego gniazda, które ja strzegłam tak długo; jeżeli niema w rodzinie mojej plamy, to dzieło moje i jej. Ale Antek, biedny Antek takiego anioła nie miał i przepadł.

Zośka kusiła go, on wynosił z domu wszystko, zabierał grosz krwawo zapracowany przezemnie i Janka, dla niej; oddawałam mu go, bo Panie odpuść, obawiałam się, że gdy grosza w domu zabraknie, on sięgnie po grosz cudzy. Nie dosypiałam nocy, łzami rosiłam pościel moją, całowałam no[illegible], aby porzucił tę przeklętą, wziął się d[illegible] i był uczciwym... daremnie.

Były to czasy niespokojne, wybuchła wojna. Antek i Janek musieli iść w szeregi. Zostałam ja sama i sama pilnowałam warsztatu.

O ile Jankowi tylko zbywało czasu, przychodził do mnie, pieścił i całował nogi moje, bo chciał mi tem wynagrodzić osamotnienie; a Antek... Antek przychodził — ale nie do mnie.

Przychodził do tej... do niej. Zabolało mnie serce; zebrałam całą odwagę moją i oburzenie i powiedziałam sobie: pójdę do niej, plunę jej w twarz, przeklnę, może mi wróci syna.

Jak pomyślałam, tak uczyniłam, uczyniłam na nieszczęście swoje i jego.

Gdy Janek pewnego wieczora przyszedł do mnie, gdym się z ust jego dowiedziała, że Antek jest u tej, przeklętej, zebrałam całą moc ducha i drżąca prawie poszłam tam do niej.

Straszną jest rzeczą matce dopominać się o wydartego sobie syna. Straszniejszą stokroć nie mieć nadziei, że go się kiedy wydrze. Powlokłam się na schody, gdzie mieszkała ta straszna kobieta, ale u drzwi samych, na poły odemkniętych zabrakło mi siły, czułam, że nogi uginają się podemną, że w głowie mi się kręci i mimowoli oparłam się o ścianę.

Z wnętrza pokoju dochodziło mnie kilka głosów, między któremi doskonale rozeznałam głos mojego syna.

— Tak, dzisiaj w nocy doniesiesz nam wszystko — gdzie i ile stoi wojsk, jaka siła i duch jaki, dukaty otrzymasz jutro...

— Dobrze — była odpowiedź mojego syna.

Drgnęłam cała, nie myliły mnie zmysły, nie myliły uszy.

To zmowa o zdradę, a ten, który odpowiedział: »dobrze«, był... moim synem!

O, już nie poszłam dalej.

Siła dziwna wstąpiła natychmiast w moje nogi, serce szarpał ból niezmierny, a przed oczami stanął mi nieboszczyk Antoni, jak mówił na śmiertelnem łożu: »zabij«.

Tego jeszcze wieczora byłam tam, gdzie granaty, bomby i kule padały na ziemię, jak grad rzęsisty; widziałam tych ludzi bladych, a silnych wobec zgonu, którzy z rezygnacją szli naprzeciwko śmierci i z coraz większą gorączką pragnęłam jej dla mojego dziecka. Stałam około mostu, gdy przedemną przechodził ront żołnierzy.

— Za kwadrans nie życzyłbym tu stać nikomu! — zawołał sierżant, dowodzący malcńkim oddziałem — będzie tu djablo gorąco, a ludzie padać będą na ziemię, jak gruszki.

— Za kwadrans będę tutaj z Antonim — pomyślałam sobie — i poszłam dalej, aby go odnaleść. Bóg mi sprzyjał, znalazłam; uchwyciłam za rękę i skłamałam mówiąc: Chodź, czeka cię Zośka... ma jakiś ważny do ciebie interes, widzisz, że tak ważny, iż mnie tutaj do ciebie przysłała.

Spojrzał na mnie niedowierzająco, ale poszedł. Nie mógł nie iść, tak silnie ścisnęłam go za ramię, biegłam prawie tam, gdzie za kwadrans, jak mówił żołnierz, ludzie, jak gruszki, na ziemię padać mieli.

Nie myślałam nawet, że i ja mogę być tam taką gruszką. Co mnie życie dziś obchodzić mogło! Stanęliśmy na miejscu... kule świsnęły w powietrzu.

— Gdzie ona? — spytał niespokojnie Antek.

— Zaraz — odpowiedziałam ściskając silniej go za ramię, aby mi nie uciekł.

— Gdzie Zośka, matko?

— Zaraz — odrzekłam znowu.

— Gdzie... — ale nie dokończył pytania.

Twarda kula złożyła pocałunek na jego czole. Zatrzepotał rękoma i upadł pod memi stopami.

Straciłam go, nie żył, ale się nie zwalał, nie okrył hańbą uczciwego nazwiska! Ja matka, zabiłam go — prawda?

Co stało się potem ze mną, nie wiem. Pamiętam tylko, żem na jego skrwawionem czole usta moje złożyła, żem krew płynącą całowała i że po długiej mojej chorobie kosmyk jego włosów dał mi Janek.

Widzisz, ja umiałam zabić syna.

Spuściła głowę na piersi i milczała długo staruszka; w niemym zachwycie spoglądałem na tę dzielną kobietę, która dla obrony uczciwego imienia, umiała zabić własne dziecko; i na myśl mi przyszła historja, która w starych znajduje się księgach, o matce pewnego greckiego wodza, na którego kamień, gdy się schronił do świątyni, rzuciła pierwsza matka i pomyślałem: Takie matki żyły nietylko w Grecji!

Michał Wołowski.

PRO MEMORIA.

10. grudnia 1850 Zmarł w Aleppo, w Syrji, jen. Józef Bem. Jako dowódzca jednego z kilku legjonów polskich, któro brały udział w rewolucji węgiorskiej, zdobył sobio Bem legendową sławę szeregiem bohaterskich czynów, świetnych zwycięstw, odniesionych w Siedmiogrodzie, gdzie bił dzielnie tak Austrjaków, jak Moskali.

13. grudnia 1867. Na południu Francji, w Amelie les Bains zakończył życie Artur Grottger. Zwłoki jego, przewieziono do kraju, spoczywają na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

15. grudnia 1828. Piotr Wysocki utworzył Związek sprzysiężonych, który powołał naród do powstania w r. 1830.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.